

Księga piąta
1512-1526

Bracia

Przekonał się Mikołaj rychło, że nie ma ciszy i pokoju w najodleglejszym zakątku świata.

Piękne to było zesłanie. Piękne i warowne, zabezpieczone przed napaściami. Lecz to, co ktoś mógł odczuwać jako gwarancję bezpieczeństwa, on odczuł jako mocny łańcuch przykuwający więźnia. Gdy z kurii, położonej za murami, wchodził teraz na teren obwarowany, kręcił z dezaprobatą głową na widok wielkich budowli: wież obronnych, katedry, zabudowań administracyjnych i gospodarczych. To co w wielkim mieście wydawało się naturalne, tu wyglądało zanadto na wyrost. Nie odmieniała tych odczuć świadomość krzyżackiego niebezpieczeństwa. Gród Naszej Pani — jak zwali Frombork miejscowi — powinien według jego wyobraźni być filigranowy, niejako dziewczęcy.

Jedynie kościół Marii Panny spełniał ten warunek, pomimo całej swej okazałości. Jego strzeliste wieżyczki modlitewnie wznosiły się w niebo. Ażury galeryjek harmonizowały z portalem, z jego subtelnymi fryzami z terakoty. Nadziemnym krytym przejściem katedra łączyła się z kapitularem.

Drugim blokiem architektonicznym — jakże odmiennym od kościoła — był potężny, oktogonalny bastion, zabezpieczający południowo-zachodni narożnik wzgórza.

Bramą zachodnią Kopernik wszedł na dziedziniec. Był on już dość gęsto zabudowany, bo do muru dostawiono zastępcze kurie, które służyły kanonikom jako mieszkania w okresach zagrożenia wojennego. Jedynie sam środek placu porastały jeszcze stare drzewa, dające cień i wytchnienie w lipcowym skwarze.

Mikołaj szedł tu właściwie bez żadnego interesu. Nic nie łączyło go z konfratrami, którzy krzywo na niego patrzyli. Nie dowierzali mu nadal, tak jak za życia wuja, gdy traktowali go jako biskupiego zausznika. Nie dowierzali, choć w kwietniu, podczas posiedzenia kapituły, dowiódł, że nie zależy mu na władzy i gdy wysunięto go jako kandydata na biskupa, zachnął się gniewnie. Właśnie dlatego zgodził się na wybór Fabiana z Łęzan, choć nie cierpiał jego pańskich manier; przy tym Mikołaj był przeświadczony, że Warmią będzie teraz rządziła zdiwaczała i podobnie jak syn zmanierowana matka biskupa. Toteż gdy inni przypodchlebiali się nowemu władcy — on na jego temat nigdy nie zabierał głosu. Po śmierci wuja polityką przestał się interesować, szukał odpoczynku od niej i marzył tylko, by jak najprędzej jąc się systematycznych obserwacji astronomicznych.

Wspiał się po schodkach na szczyt muru obronnego i stanął na nim, pieszcząc dłonią czerwone, czerniejące pod działaniem czasu, szerokie cegły, tak różne od płaskich, romańskich, które widywał w Italii.

Pod murem leżały w ogrodach kurie zewnętrzne, z których kominów wznosiły się pasemka wonnego dymu, przypominając o małym, lichym życiu kanoników, zapatrzonych we własne trzosi i w skrytości ducha marzących o biskupim tronie, a ponieważ był trudno dostępny — o godnościach: prepozyta, dziekana, kustosza, kantora.

Jemu były te marzenia całkiem obce. Wchodził w czterdziesty rok życia, ani się obejrzał, kiedy stał się mężczyzną — ciągle pod opieką wuja i choć może sam bardziej opiekował się starym człowiekiem na biskupim tronie, traktowany był przez niego stale jak dziecko.

Muskał wzrokiem oblane słońcem dachy miasteczka, wieże kościelne i bramy miejskie, rozciągające się poniżej warowni. Dalej — za nimi — piaszczysta smuga wybrzeża zamykała linię

lądu i otwierała zielony bezkres morza, przechodzący w kolor nieba, a zakłócony tuż pod krawędzią horyzontu różowym pasemkiem ledwie widzialnej Mierzei Wiślanej. W niewielkiej zatoczce chroniły się kutry rybackie. A ponad wszystkim niebo szalało płomieniami miotanymi przez słońce. Skąd tyle ognia w tej pozornie małej kuli?

A skąd tyle ognia w człowieku? Skąd tyle sił do życia po śmierci przyjaciół i pośród rozłąki. Daleko pozostał Stach, daleko Bernard Wapowski, Korwin, Tideman Gizjusz w ustawicznych podróżach. A Maciej z Anną?

Anna! Gdyby teraz zechciała przenieść się do tego najodleglejszego zakątka świata!

Kopernik zerwał się nagle z miejsca. Po cóż tu przychodził? Wiedział już właściwie, skąd będzie obserwował ciała niebieskie. Tam, w ogrodzie, wymuruje sobie pavementum — posadzkę, na której ustawi przyrządy astronomiczne. A tymczasem najpilniejsze obserwacje przeprowadzi na którejkolwiek z tych wież.

W domu czekano na niego z gotowym obiadem, Cebulski już przymilnym słowem napędzał do stołu. Mikołaj był rad, że akurat na czas spokojniejszego życia doczekał się dobrego totumfackiego. Od tylu lat miał prawo utrzymywania dwóch sług, ale w Lidzbarku nawet jednego było za dużo, gdy jadało się przy biskupim stole i korzystało z zamkowych usług na każdym kroku. Byli to zazwyczaj słudzy — nic dobrego, obiboki, szukający łatwego chleba. Wojciech okazał się pierwszym wiernym człowiekiem wśród nich, można było nawet powiedzieć: przyjacielem. Toteż obaj razem przeprowadzili się do Fromborka jak nierozłączni.

Cebulskiemu można było ze wszystkim zawierzyć, wyliczał się rzetelnie z każdego grosza. Trudno było mieć mu za złe to, że sprowadzał do kuchni co pewnien czas dziewczki, które zapewne nie tylko strawę warzyły, bo traktował je zawsze z jakąś niecodzienną czułością.

Tym razem dziewczyna akurat kuchennym wejściem do ogrodu się wymknęła i okrążyła dom, by nie spotkać się z kanonikiem. Gdy ten zaczął jeść obiad, pomyślał, że dobry wybór uczynił Wojciech, jeżeli potrawy są tak smaczne.

Powiedział mu w pewnej chwili wręcz:

— Dobrze gotuje ta twoja, jak jej tam na imię...

— Jagna — wyjaśnił sługa poważnie, ruszając wąsem. Twarz miał skupioną, postać majestatyczną. Nic go nie mogło wyprowadzić z równowagi.

— Mam nadzieję, że nie zmienisz jej zbyt prędko, chciałbym jak najdłużej tak smacznie jadać.

— Dobrze, wasza wielbność. Ja dobrą dziewczkę niełatwo puszczam. Ale za przeproszeniem, wasza wielbność, i dziewczka o was dobrze się wyraża. Słyszała, że przed dwiema niedzielami wielbność u jakiegoś rybaka był i z choroby go wyleczył. A akurat matka Jagny słabuje. Może byłaby i ona godna pomocy?

— Na pewno — odrzekł Mikołaj bez namysłu. Nie miał Wojciechowi za złe tej prośby. Ucieszył się nawet, że w chwili rozterki zajmie się czymś, co go zbliży do ludzi.

Rodzice Jagny mieszkali przy drodze do Tolkmicka. Minęli dom rybaka, któremu niedawno zalecił Mikołaj ziółka. Wstąpili na chwilę. Rybak był jednak na połowach i miał wrócić dopiero pod wieczór. Starucha za to rzuciła się Kopernikowi do kolan i błogosławiła:

— Niechaj wszechmogący Pan Bóg wynagrodzi wielbnemu dobre serce! Staremu mojemu chorobę odjęło czwartego dnia, jakem go ziołami trzy razy na dzień poić poczęła. Istny cud! To już zaiste nie zioła taką moc mają, jeno Pan Bóg, co z nim wielbność każdego dnia gada. Dzięki wielkie!

Chciała gościom jajek dać i kureę tłustą schwytać, ale Mikołaj stanowczo odmówił, zgodził się tylko, że wieczorem Wojciech tu wróci i kupi świeżych ryb.

